

# Tydzien Polski

Niedzielnny dodatek do "Nowego Dziennika"

ROK 4. NEW YORK CITY \* JERSEY CITY

SOBOTA-NIEDZIELA, 9-10 LISTOPADA—SAT. SUN. NOVEMBER 9-10, 1974

NR 194

## Polonia w Walce o Niepodległość Polski

W Stanach Zjednoczonych 5 sierpnia 1914 roku prezydium Związku Narodowego Polskiego wydało orędzie, że "zbliża się chwila, której z takim upragnieniem oczekiwaliśmy. Nastąpiła katastrofa dziejowa, z której ma powstać wolna i niepodległa Polska". Chociaż Ameryka pozostawała na razie neutralna, wychodźstwo szykowało się do wojny i wysyłało emisariuszy do Europy, do kraju, aby na miejscu badali sytuację. Polonia w USA i Kanadzie nie próżnowała. 10 lutego 1915 r. prezydent Wilson przyjmuje w Białym Domu delegację "Sokoła" i na jej postulaty w sprawie polskiej przyrzeka, że gdy "Ameryka zostanie powołana do pośredniczenia w rokowaniach pokojowych, starać się będzie, aby Polsce wymierzono sprawiedliwość i uwolniono miliony tego dzielnego i tak nieszczęśliwego narodu". Wśród zamętu wojny, sprzecznych informacji,

odegrać potężną rolę w utrzymaniu równowagi politycznej, aby ten naród był wrócony do swego zjednoczenia jako państwo wolne i niepodległe". 4 stycznia 1916 r. na ogromnym wiecu polskim w Chicago na mszy św. Ignacy Paderewski modli się głośno: "o całość, niepodległość i wolność ojczyzny prosimy Cię, Panie". Przygotowania nabierają ogromnego rozmachu. W styczniu 23 sokołów wstępuje jeszcze potajemnie do oficerskiej szkoły w Toronto w Kanadzie.

Po orędziu Wilsona, 22 stycznia 1917 roku, Związki Sokółów otwierają w Cambridge Springs szkołę podchorążych, której kierownikiem zostaje naczelnik Franciszek Dziób, a któremu z pomocą przyjdą wkrótce jako instruktorzy pierwsi absolwenci szkoły w Toronto. W tym samym czasie kilkudziesięciu elewów kształci się już w oficerskiej szkole w Borden

wojskowa z Wacławem Gąsiorowskim i Stanisławem Ponikowskim na czele. W Chicago dochodzi do porozumienia z Polonią amerykańską. Powołana zostaje komisja wojskowa z Teodorem Chylińskim i Albinem Zniemieckim na czele.

W początkach jesieni werbunek za oceanem nabiera rozmachu, mimo że do polskich szeregów mogą zgłaszać się tylko ci, których nie objął pobór do wojska amerykańskiego; w 43 miejscowościach uruchomione zostają punkty werbunkowe. W krótkim czasie obóz wojskowy oddany dla Polaków przez władze kanadyjskie w Niagara on the Lake zostaje wypełniony, wkrótce i drugi obóz w Niagara Fort oddany do dyspozycji przez rząd USA wypełnia się żołnierzami.

Entuzjazm wśród Polonii niesłychany. 25 tysięcy ochotników w pierwszych transportach odchodzi do Francji, ochotników doskonale wyćwiczonych i zorganizowanych. Za nimi pójdą następni. Ale nie tylko o tych trzeba pamiętać. Sprawie polskiej przysłużą się również świetnie i ci Polacy, którzy z racji swego wieku zgłaszają się muszą ochotniczo do armii Stanów Zjednoczonych (bo w oparciu o taką formę zasięgu oparto pierwsze oddziały amerykańskie wysyłane do Europy). Na przykład w South Bend na 100 ochotników 94 było Polaków, w innych miejscowościach procent ten wynosił od 50 do 75, a prezydent Wilson w liście osobistym do przedstawicieli Polonii dziękował będzie za ten zapał. Nie jest więc rzeczą dziwną, że gdy w lutym 1918 r. przybywa do USA druga polska misja z mjr Kozłowskim na czele, powitana zostaje niezwykle serdecznie przez miasta amerykańskie...

We Francji tymczasem już od kilku miesięcy pierwszy polski pułk, będący załazkiem pierwszej polskiej dywizji walczy na froncie w Szampanii zyskując uznanie francuskich towarzyszy broni ze 170 dywizji piechoty, której dowódca, gen. Bernard, w rozkazie pożegnalnym, gdy pułk odchodzić będzie na tyły, wyrazi "radość i szczęście, iż takich żołnierzy miał pod swoim dowództwem", stwierdzając przy tym, że "żołnierze 170 dywizji nie zapomną nigdy swych towarzyszy broni."

d.c. str 10



### PIERWSZY ROZKAZ

W dzień po proklamacji niepodległości, 12 listopada 1918 r., Naczelnik Państwa Józef Piłsudski wydał pierwszy rozkaz do Wojska Polskiego:

*Żołnierze! Obejmuję nad wami komendę w chwili, gdy serce w każdym Polaku bije silniej i żywiej, gdy dzieci Naszej Ziemi wjrząły słońce swobody w całym jej blasku. Z wami razem przeżywam wzruszenie tej godziny dziejowej, z wami razem ślubuję życie i krew swoją poświęcić na rzecz dobra Ojczyzny i szczęścia Jej obywateli.*

*Żołnierze! W ciągu wojny światowej, w różnych miejscach i warunkach, tworzyły się próby formacji wojskowych polskich. Przy kalectwie — zdawało się — nauleczalnym naszego narodu, próby, nawet gdy były szczytne i bohaterskie, były z konieczności karle i jednostronne. Pozostałością tych stosunków jest niejednolitość, szkodliwa w wojsku. Liczę na to, że każdy z was potrafi siebie przyzwyczyć i zdobędzie się na wysiłek dla usunięcia różnic i tarć, klik i zaścianków w wojsku dla szybkiego wytworzenia koleżeńskiego poczucia i ułatwienia pracy.*

*Żołnierze! Cały nasz naród staje teraz przed zagadnieniami, które rozwiązywać będzie mógł tylko przy nadzwyczajnym wysiłku i naprężeniu swej woli i siły. W swoim zakresie zagadnienia te stają i przed nami. Rozwiązać je będzie nam tym trudniej, że twarda służba nasza nakłada nieraz więcej ciężarów na uczucia i serca żołnierza. Zarówno w najradośniejszych jak i najcięższych chwilach żołnierz musi być opanowanym i zrównoważonym, zdolnym do wykonania swego zadania w porządku i dokładnie. Wykroczenia pod tym względem są tym łatwiejsze, gdy wszystko dokola w tej podniecającej chwili nie ma tych dodatkowych ciężarów, jakie zawsze na sobie niesie żołnierz.*

*Chciałbym, abym pod tym względem nie potrzebował robić nam wyrzutów i abym mógł, zdając sprawę ze swych czynności przed narodem, powiedzieć sumiennie o sobie i o was, że byliśmy nie tylko pierwszymi, ale i dobrymi żołnierzami zmartwychwstałej Polski.*

Józef Piłsudski



W maju 1919 r. naczelnik państwa Józef Piłsudski i generał Haller, na 1-szym zlocie harcerzy.

dramatycznych wydarzeń w kraju, który stał się teatrem wojny i tragedii Polaków, ubranych w obce mundury i walczących przeciw sobie za obcą sprawę przeważa wśród wychodźstwa za oceanem opinia — stać, czekać i szykować się na moment właściwy, na chwilę stosowną, aż z Europy zaczną dochodzić wieści, że sprawa polska wypływa... 8 grudnia 1915 r. włoska Izba Deputowanych uchwała, iż dążeniem Włochów jest "gorące życzenie, aby szlachetny naród polski, który w przeszłych wiekach był poważnym czynnikiem cywilizacji, osłaniając Europę przed zalewem Tatarów i Turków, a któremu w przyszłości sądzonym jest

(Ontario), zaś w kwietniu Ignacy Paderewski na zjeździe w Pittsburgu rzuca hasło 100-tysięcznej polskiej armii ochotniczej. Rząd Stanów Zjednoczonych przystępuje do wojny, zaś 20 maja 1917 r. Francuzi powołują misję wojskową z gen. Ludwikiem Achinardem, której celem jest zorganizowanie kadr armii polskiej, walczącej u boku aliantów. Zostają utworzone pierwsze polskie obozy wojskowe we Francji. 4 czerwca 1917 roku dekretem prezydenta Republiki Francuskiej zostaje powołana armia polska. Następuje ożywienie w środowiskach polonijnych po obu stronach Atlantyku... Do USA wyjeżdża z Francji polska misja



Bohdan Pawłowicz

## "KURKI WODNE ZNAD GUAIBA"

16

Cała czwórka parsknęła śmiechem i tak, śmiejąc się, rozstali. Właśnie s/s "Malmaison" trzykrotnym rykiem wzywał wszystkich na pokład. Dopiero jednak, gdy Stach był już na pierwszych schodkach trupu, dogoniła go Ilonka i, gdy się do niej przechylił przez barierkę, ucałowała gorąco w usta.

Chciał jej coś rzec jeszcze, lecz go popchnęli koledzy idący z tyłu, a bosman-mat Jędrusiak, szef kompanii, jedyny marynarz w transporcie i dowódca ich plutonu, zawołał półgłosem:

— Nowakowski, dosyć już żegnań! Nie zatrzymujcie innych!

Kiedy stali więc w szeregu na pokładzie — s/s "Malmaison" coraz bardziej i bardziej odsuwał się od brzegu. Stach Nowakowski pełen był jakiejś wewnętrznej muzyki i, jak sam sobie wmawiał, "cielęcego szczęścia". Kwieciste przemówienie kapitana Kłosa dochodziło do niego jak jakieś oddalone brzęczenie i musiał go brat mocno szturchnąć w bok, żeby zrozumiał, że padła już komenda: "kompania, rozejść się". Ochotnicy tłumnie pobiegli do relingu.

"Malmaison", pozbywszy się już zupełnie cum i lin, przechodził w tej chwili gardło basenu. Obok wieżyczki straży celnej na pirze jacht klubu stały obie Wejdyńny tak blisko, że wydawało się: wyciągnąć rękę, a wymienią jeszcze ostatni uścisk. Ilonka machała kapeluszem i przesyłała całusy. Nadia dyskretnie pokiywała ręką. Obraz ten trwał zaledwie parę sekund. Statek wysunął się na żółte wody olbrzymiej rzeki La Plata.

Konstanty i Stanisław Nowakowscy — wołał bosman Jędrusiak — zameldować się do pana kapitana! Biegiem! zaraz!

Kot odciągnął Stacha do relingu i niebawem stanęli na baczność przed kapitanem Kłosem i przed podporucznikiem Janem Sroka, dowódcą transportu.

— Do widzenia, chłopcy — rzekł przyjaźnie Kłosa, wyciągając rękę. — Chciałem z wami osobiście jeszcze się pożegnać i wręczyć list, który nadszedł od porucznika Iwickiego wczorajszą pocztą dyplomatyczną. Niech was Bóg prowadzi. — I odwracając się do podporucznika Sroki dodał: — Na mnie czas. "Malmaison" zwalnia i niebawem holownik zabierze pilota portowego, a mnie z nim. Powodzenia.

Obaj oficerowie zasalutowali i podali sobie ręce. Bracia Nowakowscy pobiegli do kabiny, którą dzielili jeszcze z czterema innymi ochotnikami, i niecierpliwie otworzyli kopertę listu Karola Iwickiego. List był krótki, datowany w Rio de Janeiro. Porucznik donosił, iż miał wiadomości z Porto Alegre, że w domu Nowakowskich wszystko w porządku, że Lusja Weissmüllerówna wraz z panią Zofią, jej matką, zlikwidowały mieszkanie i zamieszkały w pokoju "na górze" nad "zakładami" pana Józefa, który to pokój przedtem zajmowali chłopcy, i wreszcie, że jak dotąd nie widać, aby ktokolwiek interesował się nagłym zniknięciem braci.

Przynajmniej tak pisze pani Magdalena — pisał Iwicki — Miałem od waszej mamy bardzo serdeczny list. Zdumiało mnie też ogromnie, gdy dwa dni temu otrzymałem z Londynu rozkaz, szyfr telegraficzny, aby wraz z najbliższym transportem powracać do Londynu. W poselstwie polskim w Rio de Janeiro nie o tym nie wiedzieli i pułkownik Malinowski martwi się, kogo posłać na moje miejsce do Porto Alegre. Szyfr zawiera jeszcze jedno tajemnicze zdanie: Odwołanie pana porucznika w celu powierzenia mu nowej misji zbiega się z sugestią ambasady brazylijskiej przy rządzie polskim w Londynie. Mam palpitę (wydaje mi się, mam przecucie), że jest to sprawa naszego wspólnego przyjaciela senhora Randolpho Coelho. A więc odbędziemy podróż wspólnie. Do rychłego zobaczenia. Oddany wam Karol.

Jak myślisz — zapytał Stach brata — czyżby ten "królik" (coelho) przejrzał nas wówczas w pociągu? Już by zdążył interweniować aż przez Londyn? Niebywała szybkość... w Brazylii.

Istnieje taki wynalazek, jak telegram, istnieją też szyfry — odparł Kot. — Z naszego, prywatnego, punktu widzenia dobrze się stało, że pan K.I. nie wrócił już do Porto Alegre.

— Kot, cóż za czarna niewdzięczność!

— Niewdzięczność? Chyba nie. Jesteś ślepy, szczeniaku! Sam opowiadałeś, jak Maryśka płakała na tarasie Contry Club.

— Myślisz?

— Jestem pewien... jak też jestem pewien innych komplikacji. Teraz może rozumiesz, czemu pan K.I. dostał kosza od naszej siostry, która nie jest wcale taka głupia, jak ci się wydaje, tylko przekorna.

Przez całą noc s/s "Malmaison" szedł równo, jak po stole, przez Rio de La Plata. Zaraz po kolacji, bardzo lekkiej, przyrządzonej na sposób francuski, że wielu z ochotników bąkało, iż są "piekielnie głodni", bosman-mat Wilhelm Jędrusiak zebrał swój pluton na jednym z luków, kazał wszystkim usiąść po turecku na brezencie pokryw, sam stojąc w kole trzydziestu, i rzekł niskim, przyjemnym głosem:

— Chcę wam powiedzieć kilka prawd, o których dobrze pamiętać przez całą drogę, która może potrwać trzy tygodnie, miesiąc, może trzy miesiące. Droga nasza z południa na północ jest bardzo daleka. Jest wojna. Od jutra rano będziemy na morzu, a więc na froncie. Od łaszej dyscypliny, od dyscypliny całej tej łajby francuskiej zależy może życie nas wszystkich. Z was tutaj, poza parę, którzy tak jak ja wędrują dookoła świata, aby powrócić do Polskich Sił Zbrojnych, większość to zamazane rekruty. Przez głupotę tego lub owego możemy wszyscy pojsć do wody na żer rybkom. W moim plutonie porządek musi być. Będę bezlitośny dla każdego, to będzie miał złą wolę. Powiadają, że za głupotę nie można karać. Ale ja będę i żarę wam, że porucznik Sroka też będzie. Kto spróbuje zapalić papierosa na pokładzie po zmroku, pójdzie do ciemnicy na 2 dni, kto zapomni zamknąć stalową okiennicę w kabine przed zapaleniem

lampy nie tylko pójdzie do ciemnicy na dłużej, ale może będzie odesłany z powrotem, zaraz po przybyciu do Anglii. Poza tym chciałem wam wyjaśnić, co to jest dyscyplina.

I w krótkich, arbitralnych, lecz przekonujących słowach pouczył "zamazanych rekrutów", na czym polega karność w ogóle, a na okrucieństwie w szczególności.

Stach przyglądał mu się uważnie. Niewielkiego wzrostu, lecz bardzo muskularny i proporcjonalny, był Wilhelm Jędrusiak, "Wilus", jak go ochrzczili jeszcze w Buenos Aires ochotnicy, typowym okazem swego zawodu. Pod starannie ostrzyżoną szczecińską czupryną białe dość niskie czoło, czerniały gęste kosmate brwi i spoglądały groźnie, choć zgola pocziwie, zielone, błyszczące oczy. Nos miał mały, z lekka zadarty do góry i usta pełne, chętne do uśmiechu. W takich chwilach ukazywały się zęby, wspaniałe, białe i równe, jak u panny.

Ramiona miał szerokie i muskularne, noś jak u goryla, a ręce duże, mocne i spracowane. Idąc kołysał się w biodrach, jak dziewczyna, co było na miejscu na pokładzie okrętu, lecz na lądzie wyglądało dość zabawnie. Opanowany i spokojny, zdobył sobie zaraz autorytet wśród ochotników, tak że jego pierwszy pluton, po paru dniach w "Domu Żołnierza" w Buenos Aires, korzystnie się wyróżniał od pozostałych trzech. Bosman-mat Jędrusiak był podoficerem zawodowym Polskiej Marynarki Wojennej i, choć sam o tym nigdy nie mówił, wszyscy wiedzieli, że do Argentyny przedostał się fantastyczną drogą przez Syberię, Japonię, Meksyk, Panamę i Chile. Dostał się do niewoli sowieckiej we wrześniu 1939 roku wraz z załogami flotyli pińskiej, lecz w łagrze męczył się tylko przez sześć tygodni, cudem zmyliwszy czujność straży i cudem unikając tysięcy niebezpieczeństw w długiej i żmudnej drodze do Wiaźmy, gdzie był obóz, z którego uciekł, aż do Chin północnych i do Japonii. Gdy go raz kapitan Kłosa zapytał: — Jakim to sposobem pokonał bosman wszystkie przeszkody na Syberii i w Chinach?

— Odpowiedział szczerze: — Sam nie wiem, panie kapitanie. Urodziłem się w Wilnie dwa domy od Ostrej Bramy. Matka Boska Ostrobramska prowadziła mnie i wywiałem się. A jak? Sam nie wiem.

Od pozostałych podoficerów trzymał się na uboczu, nigdy nie przeklinał, pił z umiarem i nikt go nie widział z "dziewczynkami". Miał tylko jedną słabość. Nie znosił, kiedy któryś z ochotników lub kolegów mówił: "u nas w wojsku". Wtrącał wówczas z gniewem: "Może u was w wojsku, ale nie u nas w Marynarce Wojennej".

— Przecie Marynarka też wojsko — upierał się plutonowy Grzędziel, szef drugiego plutonu.

— Głupis — warczał Jędrusiak. — Marynarka jest marynarką, wojsko jest wojskiem, tak jak lotnictwo jest lotnictwem. Wszystko razem to "polskie siły zbrojne". Zrozumiałeś? A jeśli nie, to zrozumiesz, jak przybędziemy do Anglii. Wojsko, rzeczywiście! Zajęte!

I oddał się pełen oburzenia, zostawiając innych podoficerów przy jałowej dyskusji.

Na braci Nowakowskich zwrócił uwagę z miejsca, kiedy ci zameldowali się w "Domu Żołnierza". Zaraz też zagadnął Kota:

— Rekrut?

— Niby tak.

— Wykształcenie?

— Matura...polska. Miałem iść do Politechniki Gdańskiej na budownictwo okrętowe.

— Aha! Będziecie sekcyjnym.

Teraz na luku okrętowym wzrok bosman-mata Jędrusiaka zatrzymał się na starszym Nowakowskim.

— Ochotnik Konstanty Nowakowski — rzekł — będzie na czas transportu moim zastępcą w plutonie. Zrozumiano? Winnicieście mu takie samo posłuszeństwo, jak mnie. To z rozkazu porucznika Sroki. Poza tym ochotnik Konstanty Nowakowski będzie szefem sekcji pierwszej w piątej kabine. Każda kabina obsadzona jest przez sekcję z sześciu ludzi. Kabina szósta sekcja druga, sekcyjny ochotnik Szygielski, sekcja trzecia ochotnik Witas, sekcja czwarta ochotnik Zaręba. Dosyć na dzisiaj. Rozejść się. Na rzece można jeszcze palić i nie trzeba zamykać okien.

Copyright by Leszek Pawłowicz.

c.d. nastąpi

### Do Polski w 1974 roku

Wyjazdy grupowe lub indywidualne od 3 tygodni do 3 miesięcy.

Bilety lotnicze i okrętowe z wsze po najniższych cenach.

Zgłoszenia na wyjazdy winny być kierowane pod naszym adresem.

OFERUJEMY SAMOCHODY  
PO ZNIZONYCH CENACH Z BARDZO  
KRÓTKIM TERMINEM DOSTAWY.

Wysyłamy paczki PEKAO, samochody<sup>2</sup> eksportowe, narzędzia rolnicze, pieniądze do wyboru lub skup.

Sprowadzanie krewnych i przyjaciół. Po informacje i rezerwacje miejsc zgłaszajcie się do:

**E.S. WITKOWSKI & CO. INC.**

130 East 7th Street, New York, N.Y. 10009 Tel.: (212) 674-3652

(róg Avenue "A" i Siódma ulica)

Polskie biuro istniejące od roku 1920.

## TO i OWO

Owce australijskie nosić będą już niedługo... płaszcz ze sztucznego włókna. Dzięki tym okryciom będą się mogły paść w czasie zimna i deszczu, a ich sierść będzie chroniona przez zabrudzeniem — co wpłynie na jakość wełny.

W ZOO w Duisburgu (Niemcy Zach.) oglądać można klataczkę — terrarium z napisem "Chrabąszcze". Zatrzymuje się przed nią wielu zwiedzających, zwłaszcza z małymi dziećmi. Niektóre z nich bowiem znają pocziwego chrabąszcza tylko z bajeczek o zwierzętach i obrazków.

W okęgach wysoko uprzemysłowanych, takich jak zagłębie Ruhry i część Nadrenii chrabąszcze wyginęły już całkowicie. Ten ongiś tak pospolity owad nie znosi bowiem zanieczyszczonego środowiska: spalin, dymów, wyciwów fabrycznych.

Na konkursie iluzjonistów - amatorów w Hollins (Anglia) pierwszą nagrodę otrzymała pani Rita Beatty, gospodyni domowa. Zapytana, jak udało się jej osiągnąć zręczność palców tak wielką, by zostać mistrzynią w magicznych sztuczkach, pani Beatty wyznała szczerze: "Od wielu lat kontroluję codziennie kieszenie i portfel swojego męża tak, aby on tego nie zauważył — no i z biegiem czasu nabrałam wprawy..."

Kierownik doświadczalnego ośrodka obliczeniowego na uniwersytecie w mieście Akron (stan Ohio, USA) oświadczył, że do maszyny matematycznej wprowadzono nowy program uniemożliwiający studentom zadawania maszynie nieprzyzwoitych pytań. W wypadku sformułowania takiego zadania komputer będzie żądał od "zberźników" przeproszenia go, jeśli zaś student odmówi, maszyna automatycznie wyłączy się.

Australijczyk John Duncan ustanowił nowy rekord światowy. Przejechał samochodem osobowym na biegu wstecznym 211 kilometrów. Poprzedni rekord wynosił 136 kilometrów i należał do Pata Djulkesa z Etiopii.

Za 90 tys. funtów szterlingów właściciel firmy księgarskiej z Nowego Jorku nabył w Londynie, jakiś czas temu, pięknie iluminowany XV-wieczny rękopis "Opowieści Kanterberyjskich", Chaucera (1400-1490) twórcy nowożytnej poezji angielskiej. Książka ta napisana została prawdopodobnie dla księżniczki Richmondu, Margaret Beaufort, matki Henryka VII, z okazji jej ślubu ok. 1455 roku. Cena, jaką zapłacono za książkę, jest rekordowa: Podobną sumę zapłacono w 1966 r. za XV-wieczne tłumaczenie pierwszych 9 ksiąg "Metamorfoz" Owidiusza.

Z amerykańskich źródeł naukowych wynika, że przeciętny blondyn posiada około 40 tys. włosów więcej niż brunet. Ten ostatni ma ich (statystycznie) jedynie 110 tysięcy.



# W S P O M N I E N I A . . .

## Rok 1918

To było już tak dawno, tyle burz przewaliło się przez moje życie, tyle piorunów nim wstrząsnęło, tyle klęsk zrujnowało moje przywiązania, nadzieje, zamiary, tyle razy rozpadał się w gruzy mój dom rodzinny, znalazłam się tak daleko od młodości, że — zdawałoby się — nie odnajdę wzruszeń lat minionych. A jednak...

Odzywają we mnie wrażenia, wzruszenia, które wyrwały się w mojej pamięci w niezapomnianych dniach odzyskiwania niepodległości. Przyniósł nam ją rok 1918.

Już w październiku błękały się po Warszawie niejasne wiadomości, że w Niemczech wybuchły zamieszki, że rewolucyjne wrzenie ogarnia cesarstwo. Gdy 9 listopada abdykacja Wilhelma II stała się faktem dokonany, okupantów pochwyciło jedno tylko pragnienie: za wszelką cenę — "nach Hause". W dniu tym generał-gubernaor

v. Besesseler przekazał władzę i zarząd krajem Radzie Regencyjnej w osobach: kardynała Aleksandra Kakowskiego, ks. Zdzisława Lubomirskiego i Juliusza Ostrowskiego.

Przez ulice miasta powiał wiew wolności, stolica zapragnęła być sobą. Ludność rzuciła się spontanicznie do rozbrojenia Niemców. Wszak samorzutnie zorganizowana milicja — mająca bronić porządku publicznego — potrzebowała broni. Nietrudno było ją "zdobywać", gdyż żołnierze niemieccy ohotnie oddawali karabiny, amunicję, pasy. Robili to potulnie, z dobrodusznym uśmiechem.

Oto ulicą Kredytową idzie chłopiec w szkolnej czapce z błękitnym otokiem gimnazjum im. Reya. Dzieciak śmiało podchodzi do grupki żołnierzy, coś do nich mówi, coś pokazuje na migi. Żołnierze bez sprzeciwu oddają karabiny. Chłopczyna promienieje, ledwo może udźwignąć ciężar zdobyczy. Podchodzi starszy pan, chce mu pomóc. Chłopiec protestuje gwałtownie: — Ja zdobyłem, to moje — i z wysiłkiem taszczy łup w stronę szkoły.

Na ulicach widać wszędzie cywilów, młodzież, kobiety, dziewczęta z karabinami, z rewolwerami. Do czapek przypięte polskie orły.

Żołnierze niemieccy opuszczają posterunki, miejsce ich zajmują członkowie milicji obywatelskiej z białoczerwonymi opaskami na ramieniu.

Tylko na placu Teatralnym "zmiana warty" wywołuje gwałtowny sprzeciw. Komendant policji v. Glasenapp nie chce oddać ratusza. Brama zabarykadowana, w oknach sylwetki Niemców. Na placu rośnie tłum, ze wszystkich stron nadchodzą grupki, oddziały uzbójczych warszawian. Padają wrogie Niemcom okrzyki, skądś wykwita sztandar z białym orłem. Na widok sztandaru — szal ogarnął ludzi, biały orzeł stał się iskrą rzuconą na beczkę prochu.



Rozbrajanie Niemców na ulicach Warszawy — 11 listopada 1918 r.

Tłum zawył, runął ku bramie ratusza. Pod naporem setek rąk brama pęka, tłum wdiera się na podwórze.

Niemcy rezygnują z walki, żołnierze i policjanci wychodzą na plac bez broni i bez pasów. Glasenapp wymyka się bocznym wyjściem, na ratuszu powiewa triumfalnie białoczerwona chorągiew.

Niedziela listopadowa. Jeden z tych cudownych dni jesiennych, które trafiają się niekiedy w naszej Ojczyźnie. Ciepło, miasto spowite w blaski słoneczne. Marszałkowską, przez Aleje Jerozolimskie, idzie pochód narodowy.

Morze ludu; powiewają sztandary. Warszawa daje wyraz swej radości, jest wolna, z tysięcy piersi wyrwa się śpiew, krzyk, wołanie nagromadzone przez pokolenia, tęsknota do wolności. Płaczą starzy i młodzi.

Idę Nowym Światem ku Alejom, gdy gęstniejący tłum zagradza mi drogę. Przemykam się między podnieconymi, tłoczonymi się ludźmi i staję na rogu Nowego Świata. Stoję na brzegu jezdnii. Od Brackiej rozlegają się krzyki, wołania, tupoty... Publiczność potrzasa chustkami, kapeluszami... Z trudem torując sobie drogę, posuwa się w tłumie konny oddziałek. Kilkunastu ludzi w starych, wypłowiałych mundurach, na wychudzonych, poszerzonych koniach. Jakże daleko temu wojsku do późniejszych reprezentacyjnych pułków ułanów i szwoleżerów! Ale co? Wojsko polskie, "orzeł na stancy". Wojsko polskie od tak dawna po raz pierwszy widziane w Warszawie! Nie pamiętam, jaka to była formacja, nie zwróciłam na to uwagi. Dla moich młodych oczu ważny był tylko fakt, że wojsko było polskie. Jechali obrońcy, chmurni, znać wymęczeni, nie bardzo nawet reagowali na owacje. A tłum wyciągał ręce, płakał, wył, nawoływał; entuzjazm i szczęście upajało ludzi.

J.L.

Henryk Landowski

## Rok 1941 W Tobruku

Był rok 1941. Druga rocznica niepodległości państwa polskiego obchodzona pod okupacją niemiecką i sowiecką. Rozkaz dzienny gen. Sikorskiego odczytano także we wszystkich oddziałach SPSK (Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich) broniących w tym okresie tzw. "Twierdzy tobruckiej" w Północnej Afryce. Miała ona tyle wspólnego z twierdzą, ile Modlin z plażą w Orłowie. Z punktu widzenia strategicznego natomiast była niezwykle ważna. Oczy całego świata alianckiego kierowane były na ten mały skrawek przyczółka wojsk sprzymierzonych, broniący się od miesięcy przeciwko olbrzymiej nawale wojsk faszystowskich Włoch i niemieckiego Afrika Corps. Był to jedyny w tym okresie teren działań wojennych, którego wojska osi niemiecko-włoskiej nie potrafiły zdobyć. Rozkaz dotyczący uroczystości 11 listopada odczytał przed szeregiem żołnierzy Oddziału Transportowego SBSK kapitan Woźniak — szef transportówki i oficera zawodowego z dyplomem. Żołnierze! rozkaz Naczelnego Wodza przypomniał. W dniu dzisiejszym 23 lata temu święciliśmy uroczyste uwolnienie Rzeczypospolitej Polskiej, która przez 123 lata okupowana była przez Rosję, Niemcy i Austrię...

Od kilku dni, poza małymi wypadkami poprzez linie wroga, na froncie był spokój. Spodziewaliśmy się lada chwila ataku lotniczego, zwykle poprzedzanego ostrą strzelaniną 25-funtówek. W czasie odczytywania rozkazu daleko na horyzoncie ukazał się mały zwiadowczy samolot niemiecki. Z miejsca wszystkie działa przeciwlotnicze alianckie dały ognia. Strz. Mańkowski, szofer jednej z

naszych ciężarówek, a były taksówkarz z Powiśla warszawskiego, jak zwykle pierwszy odezwał się swym od wdki ochryplym głosem:

— K... ich mać, nawet mu nie dają odczytać rozkazu. Z okazji święta z linii zapowiedziało się kilka kolegów, którzy zwykle w czasie "wolnym od zajęć na linii" przychodzili odwiedzić kolegów i przyjaciół, z którymi spędzili okres przeszkoleniowy w Latrunie, w ówczesnej Palestynie. Strzelec z cenzusem Jerzy Giedroyc, obecny redaktor naczelny "Kultury" paryskiej, w Tobruku zajmował się wieczorami kantyną żołnierską Transportówki. Schron kantyny wyczyścił z powodu święta kartonem wyrwanym z opakowania puszek z marmeladą, a zamiast butelkami z alkoholem blat stołu załadował butelkami angielskiej wody sodowej. Bowiem trunków, a także i piwa w Tobruku nie było i za żadne pieniądze nie można ich było otrzymać.

Schron-kantyna braci Giedroyców już wczesnym popołudniem zaczął się napełniać kolegami. M.in. autostopem z linii przybył podchorąży Adolf Bocheński "Adzio", o którego wyczynach wojennych z okresu Narwiku już wówczas opowiadano. Posiadał zresztą z tego okresu Krzyż Wirtuti Militari, a drugi Krzyż otrzymał w Tobruku za zniszczenie niemieckiej wieży obserwacyjnej stojącej tuż za linią frontu.

Gdy 11 listopada późnym popołudniem "Adzio" zjawił się z podchorążym Pieniżkiem — swoim przyjacielem z Narwiku — w kantine Giedroycia, nikt z zebranych kolegów nie spodziewał się, że tej samej nocy Bocheński, na własną rękę, uda się na patrol i tę wieżę obserwacyjną podpali. Był to wysoki blondyn, o zawsze miłym uśmiechu, zupełnie nie mający powierzchowności żołnierza-bohatera.

Przeciwnie, mówił powoli i nawet w potocznej gwarze żołnierskiej mówiono o nim, że wygląda na "ofermę". Adzio, który był doskonałym literatem, a z zamiłowania historykiem, w czasie wieczornej debaty w kantine rozprawił szeroko o temat Kongresu Wiedeńskiego, podając jakieś szczegóły, które przez lata wygrzebywał w historycznych dokumentach, jeszcze wówczas nie publikowanych nawet w historii Haleckiego czy Aszkenazego. Rej w towarzystwie wodził "Dziunek" Kleszczyński, przedwojenny redaktor IKC ("Ilustrowanego Kuriera Codziennego"), który wraz z młodszym swym bratem znalazł się w Tobruku w Transportówce. Dziunek, należący przed wojną do obozu sanacyjnego tłumaczył podch. Znowskiemu błędy popełnione przez Narodową Demokrację, z której wywodzi się twój ukochany — jak powiedział — generał Sikorski". Kłótnia pomiędzy Znowskim a Kleszczyńskim już zdawało się, dojdzie do punktu kulminacyjnego, gdy w schronie zjawił się Piotr Dunin-

Borkowski, strz. z cenzusem, z którym spędziłem okres przedtobrucki w obozie szkoleniowym i na wartach, a z którym w dniu przybycia do portu zostałem rozdzielony. Przebył odcinek 6 kilometrów z linii, gdzie co noc chodził na patrole, piechotą, bo jak już mi dawno powiedział: "bardzo lubił spacerować". Rozeszła się o nim legenda, że co wieczór zgłasza się i chodzi na patrole, przechodząc przez teren niemiecki pod pełnym oświetleniem rakiet. Od lat jego hobby był zakup starodruków, które kupował za ostatnie grosze zarobionego żołdu. Piotr był szeroko lubiany, ale nie przez zawodowych podoficerów, dla których był oferumą, "markierantem" i "babą". Nic też dziwnego, że w przededniu wypłynięcia "Warszawy" z Aleksandrii do Tobruku Piotr zjawił się na przystani w ostatniej chwili, bo przez szereg wieczorów przed wyjazdem zakupywał w antykwariatach Aleksandrii całe tomy wydawnictw z XVIII wieku pakując je w worki wojskowe. Wiem, że gdy ładowaliśmy się na drabinę s/s "Warszawa" strz. z cenzusem Dunin-Borkowski poza karabinem, mundurem i skarpetkami nie posiadał niczego, co można by nazwać "fasowane od Jego Królewskiej Mości". Jednak dzięki swym wyczynom w czasie patroli Dunin-Borkowski odznaczył się i o ile mnie pamięć nie myli — także otrzymał Wirtuti Militari.

Przybycie jego do kantyny Giedroycia w dniu rocznicy niepodległości poszłoby w zapomnienie, gdyby nie to, że zjawił się w celu zawiadomienia kolegów, że trzeba powrócić na linię, gdzie według informacji "Intelligence" brytyjskiego miało się rozpocząć natarcie. Natarcie tego wieczoru nastąpiło rzeczywiście, ale nie na linii. Strzelec Mańkowski, nie wiadomo jakim sposobem, wydobyl kilka skrzynek piwa od Australijczyków, a przed przyjsciem do kantyny wiele flaszek tego piwa australijskiego już skonsumował. Z dwiema butelkami w ręku zjawił się u progu schronu i wzywając powitał zebranych okrzykiem "Niech żyje 3 Maja!" Giedroyc zawsze spokojny i zrównoważony z politowaniem spojrzal na podchmielonego taksówkarza z Warszawy i przypomniał mu, że to nie 3 maja, ale 11 listopada. "Miejmy nadzieję — dodał Giedroyc, że 3 maja Tobruk pozostanie już za nami".

Tak jest, książę — odparł Mańkowski i po ostrożnym położeniu butelki piwa na ziemi zsalutował tłumacząc się szeroko, że niewiele się nauczył z historii. "Wiem tylko tyle — oświadczył — że jak służyłem w I pułku Ułanów, to dwa razy do roku na 3 maja i 11 listopada zamiast rozpuścić nas do domów... syny robili pobudkę o 3 nad ranem, byśmy byli gotowi do defilady na 11. A o 11 byliśmy tak zmęczeni, że przed wodzem defilowaliśmy jak kupa pijanych Kozaków". W

d.c. str. 11



# Była najbardziej poszukiwana kobieta Europy

W angielskim piśmie "Observer" z października tego roku ukazał się artykuł Daniela Farsona o bohaterskiej Polce, który podajemy tutaj w tłumaczeniu:

Christine Granville pozostaje zupełnie nieznana, choć była prawdopodobnie najlepszym agentem wywiadu angielskiego podczas ostatniej wojny, organizującym ucieczki żołnierzy i więźniów. Kilkakrotnie aresztowana przez Gestapo, zawsze wydostawała się z pułapki dzięki swej zimnej krwi i opanowaniu. W konsekwencji nigdy nie musiała stawić czoła brutalnym badaniom czy torturom.

Nigdy nie napisała też swych pamiętników z okresu wojny. To nie było "w jej stylu". Nie znosiła rozgłosu i reklamy. To jest prawdopodobnie główną przyczyną, że przyjaciele jej, po jej tragicznej śmierci, chronili pamięć bohaterki przed wszelką "publicity". Z powodu odmowy ich współpracy zaniechano w Hollywood kręcenia filmu o Christine Granville, a pewien znany pisarz zrezygnował z napisania jej biografii. Tak samo przewidziana seria w TV zdaje się napotykać na trudności. Kiedy zacząłem iść śladami tej tajemniczej kobiety, szukając dotyczących ją materiałów dla programu radiowego, otrzymałem nieprzyjemny list od sławnego autora, który napisał mi, że "są rzeczy, o których nie można i nie wolno mówić". Cóż to mogło znaczyć? Że Christine była podwójnym agentem? Wszystkie fakty przeczą temu podejrzeniu! Wciąż zaintrygowany, doszedłem do wniosku, że był to jeszcze jeden akt chronienia za wszelką cenę jej pamięci, które stało się czymś w rodzaju obsesji i miało cechy żądzy absolutnego posiadania.

Takie oddanie jest zrozumiałe, zwłaszcza w stosunku do kogoś, kto uratował wasze życie, ale przyjaciele Christine, wydaje się, przebierają miarę. Pamięć jej winna być uczczona. Najwyższy czas, by kraj, w którym żyła, oddał jej honory, których nie otrzymała za życia.

"Granville" nie było jej prawdziwym nazwiskiem, było przybrane, tak samo jak i pseudonim "Pauline" z czasów wojny. Urodziła się w 1915 roku jako hrabianka Skarbek, w małym miasteczku niedaleko Warszawy. Jej ojciec był eleganckim, choć zubożałym polskim arystokratą, który ożenił się z bogatą Żydówką. Krystyna, ich córka, była uważana w szkole zakonnej, do której chodziła, za niezwykle inteligentną. Istnieją różne opinie na temat jej wyglądu: niektórzy twierdzą, że była piękna; inni — że była smukłą, wiotką, kobieca i bardzo atrakcyjna, ale nie piękna. W każdym razie, w wieku 18 lat, zdobyła w konkursie tytuł "Miss Polski".

Mając 24 lata wyszła za mąż za polskiego konsula w Kenii, dokąd wyjechała. Tam dotarła do nich wieść o napadzie Niemców na Polskę. Powrócili do Europy. Pierwszy rozdział życia Krystyny został zamknięty.



Przed wojną — hrabianka Skarbek (czyli późniejsza Christine Granville) w rodzinnym domu w Polsce, wkrótce po zdobyciu tytułu "Miss Polski". Kilka lat później stała się "najbardziej poszukiwaną kobietą w Europie".

Jej działalność w czasie II wojny światowej, działalność, która uratowała życie setkom alianckich żołnierzy, prawdopodobnie nigdy nie będzie w pełni znana.

Z pewnością odbyła kilka niebezpiecznych wypraw do środkowoschodniej Europy, ratując członków organizacji podziemnych z rąk Gestapo i pomagając im nawiązać łączność z walczącymi oddziałami partyzanckimi. Ryzyko za każdym razem było większe, ale Krystyna nie chciała opuścić Budapesztu, który stał się jej bazą, dopóki po raz czwarty nie pojechała do Polski, aby wydostać stamtąd swą matkę.

Jej kolega i towarzysz broni, Andrzej Kowerski — znany później jako major Andrew Kennedy — był z nią razem w Budapeszcie, kiedy do ich kryjówek zaczęło dobijać się Gestapo o 4 nad ranem. Opowiadał później: "Krystyna uśmiechała się pogodnie, kiedy weszli, a także i wtedy, kiedy nas zabierali". Podobno uśmiechała się zawsze w ten sposób, gdy sytuacja była niebezpieczna. Powiedziała kiedyś sama o sobie, jakby nieco zdziwiona: "Wydaje mi się, że nie znam uczucia, które ludzie nazywają strachem".

Policja węgierska i Gestapo były tak zaskoczone jej zachowaniem, że w ich obecności udało jej się wejść do łazienki i wrzucić do ubikacji kompromitujący dokument. Kiedy policjanci i gestapowcy usłyszeli szum spuszczonej wody — oprzytomnieli. Rzucili się w kierunku łazienki, ale Krystyna stanęła w jej drzwiach znów pogodnie uśmiechnięta. W godzinę później, w budynku Gestapo, rozpoczęło się śledztwo. Choć badani oddzielnie, Krystyna i Andrzej Kowerski mówili to samo. Byli przygotowani poprzednio na wiele pytań i

pracę Petera Churchilla i Odette Sansom (widzieliśmy o nich film pt. "Odette"), którzy właśnie zostali schwytani. Wyznaczono mu teren od Lyonu po szwajcarską granicę i w dół, ku wybrzeżu Morza Śródziemnego, aż po Marsylię, gdzie działało ok. 7 tysięcy członków francuskiego ruchu oporu, podzielonych na komórki liczące po 15 do 20 osób. Posiadały one własne kierownictwo. Zadaniem Cammaerts było skoordynować ich działalność i kierować ważniejszymi przedsięwzięciami. Oczekiwano każdego dnia alianckiego desantu we Francji i trzeba było przygotować teren.

Krystynę przywieziono samolotem z Algieru. Lubiła skakać ze spadochronem. Tym razem była to jasna letnia noc, ale bardzo wietrzna, więc zniosło ją kilka kilometrów w bok od punktu przeznaczenia. Kiedy "Maquis" zbliżali się, wyciągnęła pistolet. W chwilę potem zrozumiała, że to przyjaciele, którzy na nią czekali. Zabrali ją do Cammaerts, do "Rogera", jak go nazywali. Oto jego pierwsze wrażenie: "Kobieta o silnej osobowości, 'zawodowiec', podczas gdy my wciąż jeszcze byliśmy amatorami. Zorientowaliśmy się w tym szybko. Była obznajmiona z systemem porozumiewania się, z każdym rodzajem sabotażu, z metodami przenoszenia materiałów, z techniką życia w podziemiu. Jej niezwykła "personality" wywierała silne wrażenie. Chociaż była osobą spokojną, nawet nieco nieśmiałą, wyczuwało się w niej ogromną determinację i całkowite przeświadczenie o słuszności tego, co robi. Dla każdego, ktokolwiek zetknął się z nią wtedy we Francji, było oczywiste, o ile mi wiadomo, że ma przed sobą prawdziwą bohaterkę. Z miejsca spotykała się z uwielbieniem. Czy była to grupa oficerów francuskich, czy wieśniaków — reakcja była ta sama. Każdy wyczuwał natychmiast, że ma do czynienia z człowiekiem, któremu można zaufać i na którym można polegać w każdej sytuacji. Nie istniały dla niej bariery językowe, klasowe czy poziomu wykształcenia, które odgradzałyby od tych, z którymi pracowała. Wierzyła w ludzi i w to, że są zawsze po jej stronie". Po nierównej walce z Niemcami na płaskowyżu Vercors, wywołała jej nieostrożnością. Francuzów, Krystyna, Cammaerts, radiooperator i francuski generał Zeller próbowali uciec. Ponieważ wszystkie drogi były odcięte przez Niemców, przedzierali się każde na własną rękę. Krystyna dotarła do Włoch i tam przyłączyła się do grupy partyzantów walczących z Niemcami. Cammaertsowi, niestety, "powinęła się noga". Pojechał do Avignon, aby spotkać się z czterema wysłannikami de Gaulle'a, potem wracał do kwatery głównej, mieszczącej się w wiosce alpejskiej.

Czerwonego Krzyża prowadził Claude Renoir, syn sławnego malarza. Renoirowi i Cammaertsowi towarzyszyli oficer francuski i agent brytyjski Fielding, który powrócił właśnie z Krety, gdzie organizował ruch oporu, a zaopatrzonego w papiery francuskiego urzędnika elektrowni. Świadomość, że desant alianatów nastąpi za kilka dni, spowodowała nadmierną pewność siebie. Zrobili błąd dzieląc się francuskimi pieniędzmi dostarczonymi przez Fieldinga. Kiedy zostali zatrzymani, mówili, że się w ogóle nie znają i przypadkowo zabrali się tym samym samochodem. Zrewidowano ich. Kolejne numery banknotów zadały kłam ich twierdzeniu.

Kiedy oczekiwali na egz. kucję, nie przypuszczali, że Christine planuje ich ucieczkę. Z siebie tylko wiadomych powodów Gestapo wypuściło Renoira, który natychmiast skontaktował się z Krystyną na włoskiej granicy. Zaproponował przewiezienie jej samochodem, ale odmówiła, nie chcąc go narażać. Pożyczyła motocykl (nie znosiła motocykli — była to jedna z jej nielicznych słabości) i pojechała wprost na posterunek francuskiej policji. Kapitanowi, o którym było wiadomo, że ma powiązania z Gestapo, oświadczyła, że jest siostrzenicą generała Montgomery i że owi trzej więźniowie są o wiele ważniejsi niż przypuszcza. Zagroziła, że jeśli im się coś stanie, francuski ruch oporu zabije oprawców i że każdy kolaborant, taki jak kapitan, będzie traktowany ze szczególną brutalnością. Ostrzegła go, że Alianci już prawie lądują. Kapitan zażądał w odpowiedzi dwóch milionów franków dla belgijskiego kolaboranta Maxa, który był osobiście odpowiedzialny za więźniów.

— Powiedz mi, że jutro przywiezie pieniądze — oświadczyła Christine i pojechała wprost do owej głównej kwatery w wiosce alpejskiej.

Pieniądze zostały zrzucone tej samej nocy w odpowiedzi na sygnał Krystyny. Dostarczyła je



Rzadki moment odpoczynku

uzgodnili swoje odpowiedzi, ale nie na wszystkie. "Nie wiem, jak to się stało — mówił Kennedy później — ale ona miała chyba jakiś siódmy zmysł". Ponieważ chorowała na gripę po ostatniej pieszej wyprawie przez granicę, z talentem urodzonej aktorki wykorzystała tę sytuację. Udawała gruźliczkę. Pluła ostentacyjnie krwią (gryząc sobie z całej siły język) i zanosila się kaszlem. Odstawiono ją do szpitala. Potem niespodziewanie zwolniono oboje pod warunkiem, że co trzy godziny będą meldować się policji. Musieli uciekać! Przedostali się do Jugosławii (Krystyna ukryta w bagażniku samochodowym), a stamtąd do Egiptu. Przybyli do Kairu latem 1942 roku. Jako "freelance agents" zostali przydzieleni do Specjalnej Grupy Operacyjnej, będącej częścią brytyjskiego tajnego wywiadu, specjalnie utworzonej w 1940 r. dla wspierania ruchów konspiracyjnych w krajach okupowanych. Przez następne dwa lata Christine Granville działała w Turcji i na Środkowym Wschodzie. W 1944 r. została zrzucona na teren południowej Francji.

Agent, który zażądał jej przybycia od Specjalnej Grupy Operacyjnej, prosił o przysłanie kobiety; poruszająca się po okupowanym terenie kobieta budziła mniej podejrzeń niż mężczyzna w wieku wojskowym. Ten właśnie agent jest dziś jednym z trzech towarzyszy broni Krystyny, którzy tak zazdrośnie strzegą jej pamięci. Obecnie Francis Cammaerts jest rektorem collegu w Exmouth i z jego wyglądu nikt nie mógłby się domyślić, że ma przed sobą byłego tajnego agenta. Ale może tak właśnie tajni agenci powinni wyglądać.

Cammaerts został zrzucony na teren Francji, aby kontynuować

Samochód ze znakami